DZIENNIK

Mód Paryskich.

LWÓW 1 LISTOPADA 1841. Ner. 21. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Stroje damskie. Minął październik, coraz rzadszy piękny dzień jesienny, i jesteśmy niemal całkiem w porze w której trudno się obejść bez futra. Co do tego artykułu podpada on mniej niż którykolwiek wydziwom mody, ustaje tu bowiem wszelkie niebespieczeństwo ślepego naśladownictwa które tyle jest rażące w innych strojach.

Następujące osobliwości całkowitego ubrania, dadzą może najlepsze wyobrażenie co dziś najwięcej noszą. Suknia z morowego nankinu, spodnica obszyta potrójną falbaną z fręzlami; stanik obcisły z gorsem podłużnym również fręzlami obszytym, rękawy półszerokie; kapelusz atłasowy niebieski ozdobiony białą lilią. Suknia z *poult de soi* garnirowana ukośnemi falbanami z fręzlami takiegoż koloru, stanik obcisły z fręzelkami u gorsu, który aż do przepaski sięga, rękawy gładkie, kołnierzyk batystowy haftowany, ozdobiony korunką i zapinający się na złote guziczki; niebieski atłasowy rańtuch z haftem; kapelusz takiż obszyty walensienkami, po bokach wstążkami i korunkami ozdobiony. Peleryni przy sukniach i szlafroczkach, które już przed kilka laty zupełnie zarzucone były, odzyskały znowu swoją dawną wziętość, tak, że stanowią one dziś pierwszą nowość w modzie.

R y c i n a d z i s i e j s z a p r z e d s t a w i a: Suknię białą organtynową korunkami angielskiemi obszytą. Strój głowy: gierlanda z róż; tudzież szlafroczek z materii *poult de soi* rabaty i obłożenie z przodu z axamitu niestrzyżonego. Kapelusz axamitny, korunkami obszyty.

Stroje męskie. Paletoty zaczynają nosić jak tylko być może długie, i w tej długości zasadza się głównie tegoroczna ich zmiana. Robią też paletoty greckie które są bardzo szerokie i lamowane w około. Strój to wcale piękny lecz rzadko go widać i zdaje się należeć do tych artykułów które za osobliwość uchodzą i tylko na pokaz służą. Kamizelki robią najwięcej mogące się na obie strony, i aż pod szyję zapinać, jakkolwiek je powszechnie z wyłożonemi klapami noszą. Co do spodeń dla takowych będzie jeszcze na długi czas wzór najprościejszy a razem najwięcej elegancki następujący: u dołu dość obcisłe, z wycięciem z przodu tak, aby noga dobrze była okryta i z szerokiemi strzemiączkami.

R y c i n a d z i s i e j s z a p r z e d s t a w i a: Frak do spaceru z połami szerokiemi i patkami na biodrach, z wązkim kołnierzem wyciętym, i szerokiemi klapami. Paletot, jaki dzisiejsza rycina przedstawia był już w poprzednim numerze naszego dziennika opisany.

ZULEJKA.

POWIASTKA Z LORDA BYRONA.

I.

Pewnego dnia główna sala pałacu baszy z Abydos była napełniona niewolnikami, którzy w pokornem milczeniu czekali na

roskazy swego pana. Giaffir usiadłszy na swojej sofie z założonemi na krzyż nogami zdawał się być dręczonym jakiemś głębokiem uczuciem, a choć jego twarz nieokazywała bynajmniej, co się działo w jego duszy, przecież można było poznać, że jego serce było niespokojne, i że był zatrudniony jakąś tajemniczą myślą. Obok niego w uniżonej postawie ale okiem pełnem ognia stał młody Selim, który zawsze baszę nazywał swym ojcem.

Ogólne panowało milczenie gdy wtem Giaffir obudzony z swoich marzeń dał roskaz, aby się oddalili z sali. Wszyscy wyszli, tylko Harun nadzorca seraju i Selim zostali z Giaffirem.

— Harunie, mówił basza, jak tylko ten tłum przejdzie próg sali zewnętrznej (biada tobie, coś widział bez zasłony moję Zulejkę) idź i poszukaj mojej córki na przechadzce. W tej chwili jej los jest stanowczy; ale nie powtarzaj jej słów tych, bo tylko ja mam prawo przepisywać jej powinności.

— Baszo, słuchać i być posłusznym jest obowiązkiem niewolnika.

I poszedł Harun.

Wtem młody Selim równie niepokojony jak uderzony nagłym smutkiem, skłoniwszy się przed Giaffirem, przerwał milczenie.

— Ojcze łaski; przebacz mojej siostrze, ja sam tylko jestem winny, niech twoja złość cała padnie na mnie samego. Zaranie było tak piękne, a błękit nieba udzielał tak cudnego widowiska, żem się zaczął zastanawiać nad niebem, ziemią, morzem, które się przedstawiało mym oczom w całej swej okazałości; a żeby nie rozmyślać w samotności, szukałem kogoś, któryby ze mną podzielił to błogie uczucie lubości, które odradzająca się natura obudziła we mnie. Wstęp do haremu nie był mi wzbronionym, pobiegłem więc obudzić Zulejkę i zaprowadziłem ją do gaiku cyprysów gdzie rozmyślając nad tem, co się naszym oczom pięknego przedstawiało przechadzaliśmy się ciągle, aż bęben oznajmiający godzinę twego dywanu, kazał mi stanąć natychmiast przy twoim boku i porzucić moją siostrę, która bez wątpienia jeszcze się tam przechadza. Ach! łaski, nie gniewaj się na nią, nikt nie może wniknąć tam....

— Synu niewolnika! mowił basza, synu niewiernej matki; czyż to tak się wywdzięczasz twojemu ojcu? Zamiast wprawiać ramię twoje do naciągania łuku, zamiast ujeżdżać zuchwałego rumaka, ty chcesz się rospływać nad mruczeniem wody i przypatrywać rozkwitającym różom. Czy nie jestżeś ty więcej stworzonym do igły i kądzieli, jak do noszenia szabli przy boku?

Żadne słowo nie wymknęło się z ust Selima, ale każdy wyraz Giaffira był dla jego serca ostrym pociskiem. Synu niewolnika! mówił sam do siebie, on mnie o tchórzostwo posądza!

Każden inny byłby drogo okupił te poniżające słowa..... Syn niewolnika! a któż to jest moim ojcem? i po jego twarzy przesunęła się chmurka dręczącej boleści.

Stary Giaffir wpatrywał się z zadziwieniem w swego syna, i chciał wyczytać w jego oczach, jakie wrażenie zrobiły na nim jego słowa. To śmiałe dziecko, myślał sobie, wiele mi sprawia udręczenia, w jego żyłach płynie krew moj.... ta krew... ale trzeba, żebym więcej miał nad nim baczności.... Mamże się z nim obchodzić jak z Arabem albo jakim niewiernym?... Ale kogoż to słyszę? to głos mojej Zulejki! on się odbija w mem uchu jak głos huryski.

Na te słowa weszła córka Giaffira.

— Chodź córko mojego serca, twoj ojciec przejęty dla ciebie tkliwą miłością, chce cię mieć przy swoim boku. Ty tak panujesz nad jego duszą, jak panowała twa matka: moje życzenia zawsze są zajęte przedmiotem twojego szczęścia, a świątynia w Mece nie słyszała nigdy gorliwszych modłów nad te, ktore odmawiam za ciebie.

W oczach Zulejki błyszczał promień najżywszego światła, a jej twarz obległ tak uroczy rumieniec, jakiego nigdy opisać nie można. Kto w swem życiu nie był niepokojony krasą wzruszonej piękności, jaką w tej chwili była córka Giaffira, nie jest stworzonym dla podziwiania natury.

— Córko mojej miłości, mówił dalej basza, kochałem cię zawsze, a dzisiaj więcej jak kiedykolwiek, bo dziś jest dzień, który wyrokuje o twojem szczęściu i o mojej potędze. Jeden z rodziny Korasmanów żąda twojej ręki. Niema wojownika, któryby mu mógł wyrównać w robieniu bronią. Jestto pan potężny, który nie tylko może cię uszczęśliwić, ale nadto złączywszy swoje siły z memi zabespieczy spokój powszechny. Z nim razem będziemy szydzić z srogiej groźby śmierci, którą nam pośle zazdrośny sułtan, i jednem zamachem przetniemy sznurek, który on nam posłać się ośmieli, aby zagarnąć nasze bogactwa. Kazałem cię na-

uczyć wszystkiego, co może wymagać płeć twoja po tobie, powiedziałem ci ostatnie słowo posłuszeństwa: do twego męża należy prawić ci o miłości.

Te słowa tak straszne dla duszy Zulejki nagłą na niej zrobiły odmianę. Spuściła oczy, a dwie łzy zrosiły jej różane niewinne policzki. Podobna była do xiężyca, który podczas jasnej wiosnianej nocy zasłania się lekką chmurką i przybiera posępną postać smutku.

Giaffir nie widział albo też widzieć nie chciał wzruszenia swej córki, a kazawszy przyjść pocztowi niewolników, wydał roskazy aby przygotowano wszystko, cokolwiek jest potrzebne w ogrodzie, do usługi przy gimnastycznych ćwiczeniach. Położył swoją długą fajkę i wyszedł w towarzystwie jednego niewolnika.

Selim stał zamyślony w ponurem milczeniu, oczy wlepił w ziemię, jakby porażony grzmotem piorunu.

Zulejka, która z żalem się dowiedziała, że ma porzucić dom rodzicielski i opuścić Selima, chciała szukać pociechy w spojrzeniu i słowach swojego brata: przeszła się w około pokoju nie wiedząc co zrobić, aby zwrócić na siebie choć jedno spojrzenie milczącego młodziana: Dla czegóżto, przemówiła nareście, mój brat taki smutny? dla czegoż nie patrzy na mnie z swą zwyczajną słodyczą? Cóż złego mogłam mu zrobić?... Ale głos silny mówił w jej duszy... Ona chciała zrozumieć ten głos, widzieć te oczy: i aby się zaspokoić wzięła naczynie z balsamem, pokropiła się nim i kilka kropli prysnęła na pierś Selima: ale to serce zdawało się być z marmuru.... Jakto! zawsze smutny mój brat, niechce nawet obrócić oka na swoją Zulejkę?...

W tej chwili ujrzała obok siebie piękny bukiet kwiatów, które zawsze kochał Selim, a osobliwie jeżli pochodziły z jej rącząt.... Weź bracie, przyjmij tę różę, ona zwiastuje spokój i spłoszy wszystkie twoje udręczenia.... Ale jakto! ty wzgardzasz moją biedną różą?... I cóżem ci zrobiła, żebyś mnie miał nienawidzić? Czy zapomniałeś o miłości Zulejki? Ach! teraz pojmuję. Postanowienie baszy cię zasmuciło. Ten krewny, ten bej z Karasman może jest twoim nieprzyjacielem? Jeżeli tak jest, to przysięgam na świątynię w Mece, że bez twego pozwolenia nawet sułtan nie będzie miał mojej ręki.

Na te słowa prawdziwego uniesienia Selim uczuł, jak po całem jego ciele przebiegła iskra zapalonej miłości. Opamiętuje się z zadumienia, podnosi Zulejkę, która była u nóg jego, przyciska ją do swego serca, a powtarzając przyrzeczenie wymówione przez Zulejkę:

— Teraz ty jesteś moją, mówił do niej, i żadna władza na ziemi nie jest w stanie wyrwać cię z rąk moich. Wiedz że ja wiem, kto jest ten człowiek, któremu cię chce dać twój ojciec: żaden zbójca mu niewyrówna; nikt nie posiada bogactwa niesprawiedliwiej wydartego jak on; i wiedz także, że ja nie jestem tym, za kogoś mie miała dotych czas. Jestem człowiekiem, który swem ramieniem może poskromić dumę Giaffira.... Ty jesteś moją na zawsze, tylko grób zdoła nas rozdzielić. Tutaj w mem sercu ukrywam tajemnicę, tobie ją powierzę. Nie jestem ja tym, kim się być zdawałem. Zachowaj tajemnicę przysięgi i milczenie.

— Selimie jakto! ty nie jesteś...

— Nie... kiedy muezzin z wierzy minaretu będzie zwoływał wiernych na modlitwę, ja pójdę do ogrodu, aby się zabespieczyć, że się tam nikt niewśliznął potajemnie. Ty nie spij.... O północy, podczas ciszy powszechnej, będę u drzwi haremu, pójdziesz ze mną, i dowiesz się kto jestem....

— Selimie... o północy!...

I rozeszli się w największem wzruszeniu.

II.

Byłoto podczas burzliwej nocy, podobnej do tej, którą widzieli kochankowie z Sestos i Abydos pochłonięci przez burzliwe bałwany Hellespontu: wszystko było pokryte szarą ciemnością, a na całem wybrzeżu jedno tylko błyszczało światełko: byłoto w pokoju Zulejki.

Ona była spokojna, zatopiona w swoich myślach o wypadkach dziennych i o tajemnicy, którą Selim miał jej powierzyć; wspomnienie już nieżyjącej matki przypomniało jej nieszczęśliwą przeszłość i wróżyło smutną przyszłość, gdy wtem pojawił się Selim jako duch opiekuńczy, który ją miał pocieszyć. Natychmiast wyszli z seraju, a niezważając na okropną ciemność nocy udali się do ogrodu. Spokojna para postępowała szybkim krokiem i oczekiwała z bijącem sercem niepewnej chwili.

Nareszcie przyszli do groty, którą natura wydrążyła w skale, a ręka ludzka u-

pękniła i rozprzestrzeniła. Tutaj zwykle chodziła Zulejka pieścić się dźwiękiem harmonijnej lutni, i uczyć się słów koranu: ale jakiż widok sprzeczny i okropny przedstawił się teraz zdziwionej dziewczynie? Lampa z bronzu oświecała ten zakątek swoim ciemnym i smutnym blaskiem. Rozmaite przedmioty odsłoniły się oku Zulejki. Widziała broń, której jeszcze nigdy nie widziała noszonej przez Turków; widziała szable, których brzeszczoty były zupełnie zagranicznej postaci, a jedna z nich krwią zbroczona. Obróciła się do Selima chcąc aby jej wytłumaczył co to wszystko znaczy.

Ale obróciwszy się zobaczyła go zupełnie zmienionego. On zdjął turban, a złożywszy płaszcz turecki, zupełnie w innym okazał się stroju. Czerwona taśma okręcała głowę jego, a na jego ramieniu wisiał niedbale zarzucony taki płaszcz krótki, jaki zwykle noszą nieznani podróżni; kamizelka z złotą blachą okrywała mu pierś jak kirys, a niżej kolan buciki były ozdobione srebrnemi blachami. Po obu stronach był uzbrojony dwoma pistoletami a długa szabla wisiała na pasku. Powiedziałbyś że to jeden z tych żeglarzy, których można widzieć na okrętach tureckich.

— O Zulejko! nie jestem ja tym, kim się być zdawałem, zawołał nagle Selim, teraz przekonasz się że nie kłamię. Myśl, że ty masz być żoną Osmana, przymusza mię odkryć ci tajemnicę, którą chętnie chciałbym był ukryć na wieki. Słodka nadzieja, że znajdę współczucie i wzajemność w twem sercu, zmusiła mie do tego.

— Tak mój bracie, ja nie będę niczyją, przysięgam!

— Dobrze więc! Zulejko ja nie jestem twoim bratem!

— Ty nie jesteś moim bratem! odwołaj to słowo! Boże! otóż ja sama mam płakać na ziemi.... Nie śmiem przekląć dnia, który był świadkiem mego urodzenia.... Ty mie nie kochasz już więcej?... Ach! czuję, jak upada me serce.... Ale nie, miej mie i nadal jak do tychczas za twoją siostrę, twoją przyjaciółkę, twoją Zulejkę, twoją....

— Uspokój się moja Zulejko, nasze położenie zmienione ale nie zrujnowane. Krew, która płynie w naszych żyłach wytrysnęła ze wspólnego źródła. Chociaż twój ojciec jest moim najzaciętszym nieprzyjacielem, przecież mój ojciec był dla Giaffira tym, czym ja się dla ciebie być zdawałem. Ten brat wyrodny zamordował swego brata, a oszczędził jego dziecię; on mie tak chował jak lwię młode i jak bratobójca może wychowywać siostrzeńca. Krew mojego ojca burzy się w wszystkich moich żyłach. Tylko z miłości ku tobie ociągam się z zemstą; lecz tutaj dłużej zostać już nie mogę.

Czy widzisz ty tę szablę krwią zbroczoną? Giaffir chciwy na bogactwa Abdalli i jego paszalik zgładził go nią z świata. Mój ojciec wypił truciznę, poddał się okropnemu przeznaczeniu, a jego głowa padła pod mieczem twojego ojca! Harun wiedział po części tajemnicę, ale nie mogąc już więcej przeszkodzić zbrodni, chciał uratować me życie; on wie wszystko; jeźli nie chcesz wierzyć słowom moim, on sam może to wszystko powtórzyć.

Ale powiem ci jeszcze rzecz, która ci się wyda szczególniejszą; ubiór który teraz widzisz na mnie, jestto ubiór wodza rozbójników morskich w wszystkich kierunkach plądrujących morze. Giaffir poniżał mię zarzucając mi tchórzostwo. On nie wie jakich czynów dokazywało to ramię, on nie wie z jakiego hartu ta szabla! Ale na cóż to zabijać czas próżną gadaniną. Kiedy nasze przeznaczenie będzie ustalone, dowiesz się o wszystkiem. Teraz wiedz, że moi wszyscy towarzysze są do odpłynięcia gotowi; moja barka jest w pogotowiu, a chociaż wiatr przeciwny sprzyjał nam nie będzie, trzeba koniecznie z tąd się oddalić pierwej, nim niegodziwy Osman przybędzie jutro, aby cię zabrał z sobą. Zulejko, zapalczywa miłość, którą cię kocham, zmusza mię do tego kroku; wierz że nie pragnę ani dostojeństw, ani władzy. Ty i ziemi kawałek, tak długi, jak moja szabla, dla mnie dostateczne. Nie, jabym nie ścierpiał, aby cię inny pieścił w swych objęciach.

Tak to jest! czy ty widzisz te zbroje? w krótce, za kilka minut zobaczysz moich wiernych; oni się w nie ubiorą; i jak długo nam jeszcze noc sprzyja, oddalemy się z tych stron, które się dla mnie stały miejscem męczarni.

Zulejka stała milcząca i nieruchoma jak posąg boleści, ale nim jeszcze zdołała otworzyć usta do odpowiedzi, furtka ogrodowa została oświecona światłem pochodni, potem pokazała się druga, trzecia, aż cały ogród został oświecony; zgraja niewolników zapełniła całą przestrzeń, a pomiędzy niemi był Giaffir. Wściekły machał długą

szablą na wszystkie strony, i tuż już stanął przy wnijsciu do groty.

— Uciekaj mój.... Ach! ty nie jesteś już... uciekaj, o więcej jak mój brat; mówiła Zulejka.

Ale Selim stał nieruchomy.

— O moja Zulejko, nadeszła chwila; daj mi tylko jedno pocałowanie, a to będzie ostatnie! Moi ludzie niedaleko są od brzegu, choć w małej liczbie ale przybędą, jak tylko usłyszą dany znak przezemnie.

To mówiąc zbliżył się do wyjścia, i wystrzelił z pistoletu, a echo odbiło się w jaskini.

— Niesłyszą, albo gdy tutaj przybędą, przybędą tylko, aby mie widzieli umierającego. Huk zwrócił moich nieprzyjaciół w tę stronę. Wyjdź z pochwy szablo mego ojca; ale ty niewidziałaś nigdy tak nierównego boju! Bądź zdrowa Zulejko, schroń się do groty, tam będziesz bezpieczna. Nie bój się o twego ojca, pierwej umrę, zanim się spotkam z jego mieczem, chociaż on zabił mego ojca Ale drudzy przekonają się dostatecznie o mej waleczności!

I jednym skokiem był u brzegu. Pierwszy którego spotkał, w tył potoczył się zabity, drugiego los był podobny, on wszędzie rozsiewał, aby tak się wyrazić, postrach śmierci; ale nakoniec został otoczony kupą nieprzyjaciół, lecz bijąc na wszystkie strony przetorował sobie przez nich drogę i zbliżał się ku stronie gdzie widział swą barkę, która robiąc z całej siły wiosłem, chciała przyspieszyć z pomocą; nareście rzucił się w wodę i już niedaleko był barki. Ale chęć zobaczenia raz jeszcze tej, której tutaj znaleść nie mógł, spowodowała go do zrobienia kroku, który się stał dla niego nieszczęsnym! Ach! jaka to prawda, że nadzieja tak łatwo wystawia kochanków na niebespieczeństwo! W chwili kiedy się chwytał już brzegu, Giaffir dał do niego ognia z karabinku, krzycząc temi słowy: tak bywają pomszczeni nieprzyjaciele Giaffira! Selim upadł w morze i zrumienił go krwią swoją. Ostatnie słowo które wymówił było imię Zulejki....

Nieszczęśliwa która we środku słyszała wrzawę potyczki nocnej, dręczona okropną boleścią, nie mogąc przynieść pomocy temu, który był jej nadzieją, jej radością, jej miłością jej wszystkiem, wydała krzyk rospaczy i skonała.

Ranna wyjrzała jutrzeńka i odsłoniła brzeg pomalowany krwią i pokryty znakami walki: widziano w fali morskiej płaszcz biały z czerwoną plamą, której morze zmyć niepotrafiło; ciało Selima, które ten płaszcz zwykle okrywał uniesione falami stało się nareście zdobyczą ptastwa. Jego barka się potłukła jakby przywiedziona do rospaczy stratą swojego dowódzcy.

Zulejka została złożona w skromnym grobie. Tutajto dziewczęta z okolicy przychodzą zazwyczaj opłakiwać nieszczęście ostatniej gałązki z szczepu Giaffira, przesełając modły do nieba na jej grobowcu.

F. X. Jaworski.

Z DUMAŃ LAMARTINA.

I.

Samotność.

W cieniu starego dęba nieraz na kurchanie
Zachodzące mnie słońce smętnego zastanie;
Z tamtąd ja wzrok niestały wodzę po równinie,
Co się zmiennym obrazem u stóp mych rozwinie.

Tu brzmi strumień łoskotem zapienionej fali,
Wężykiem on się snuje, i niknie w oddali;
Tam jezioro uspiło nieruchome tonie
Nad niem wieczorna gwiazda na błękicie płonie.

Na szczycie wzgórz, lesistym uwieńczonych cieniem,
Jeszcze zorza ostatnim zawisła promieniem,
A już mglistym rydwanem czarna noc się toczy,
I brzegi widnokręgu szarym szlakiem mroczy.

W tem z wieżycy gdzieś skromnie ukrytej w dolinie,
Dźwięk się naraz pobożny w powietrze rozpłynie;
Wstrzyma krok swój wędrowiec, a te sielskie dzwony
Świętem wtórują brzmieniem wrzawie dnia uspionej.

Lecz mej ten słodki obraz obojętnej duszy
Ani znęci powabem, ni urokiem wzruszy;
Na tę ziemię jak mara poglądam błędliwa,
A błogie żywym słońce martwych nie ogrzewa.

Naprózno wzrok przenoszę ze wzgórza na wzgórze;
We wschód, w zachód, w południe w północ go zanurzę,
W każdą stronę niezmierna się przestrzeń rozwleka,
Ale w żadnej niestety! mnie szczęście nie czeka.

Czemże mi te doliny, te dwory, te sioła?
Wdzięk co go zdobił, z tego uleciał padoła!
O wy lube ustronia, skały, rzeki, gaje,
O jakżeżcie bezludne, gdy Jej wam niestaje!

Czy ze świtu się wytli, czyli gaśnie w zmroku,
Już słońca kolej memu obojętna oku,
Czy w przeźroczym błękicie, czy we mgłach nurtuje,
Czem mi słońce? któryż dzień mnie szczęście rokuje?

Choćbym za niem nadążył wykrężonym torem,
Pustymby się mym oczom wydał świat przestworem;
Bo nie nęci mnie niczem blask jego promieni,
Niczego we wszechświata nie szukam przestrzeni.

Lecz może po za świata nieścignione końce,
Kędy innym niebiosom prawe świeci słońce,
Gdybym te zwłoki moje mógł zostawić ziemi,
Ujrzałbym o czem marzę oczyma własnemi.

O tambym upragnionym upajał się zdrojem,
Nadzieja, miłość, w łonie odżyłyby mojem,
I to urocze dobro, co go w ziemskim tłumie,
Choć każda łaknie dusza, żadna zwać nie umie.

Czemuż, o nieuchwytny mej żądzy przedmiocie!
Mknąć mi ku tobie w chyżym nie wolno polocie?
Jakaż moc na tej ziemi wygnańcem mnie trzyma?
Wszak między mną a ziemią nic wspólnego niema.

Gdy opadną na łąkę zżółkłe liście boru,
Zrywa się i unosi je wicher wieczoru;
Wszakże i jam podobnie jak ów liść zwiędniały,
Obyście mnie już wichry ze sobą porwały!

II.

Spoczynek.

Serce znużone życiem i nadzieją, woli
Płonnem już narzekaniem nienagabać doli,
U ciebie więc o lube domowe ustronie,
Zanim śmierci doczekam, na chwilę się schronię!

Tam w cienistą gęstwinę wiedzie szlaczek wązki,
A ze zarosłych wzgórzy zwieszone gałązki,
Co krzyżując swe cienie ku mnie się pochylą.
Ten mi spokojną ciszą przytułek umilą.

Zielenią zasklepione oto dwa potoki
Znaczą owej doliny przełęczaste boki;
Na chwilę szmer swój złączą, ich wody się spłyną,
Aż niedaleko źródła bez nazwy zaginą.

Podobnie dni mych ponik jak one upłynął,
Niegłośny, bezimiennie, niepowrotnie minął;
Lecz ich wody przejrzyste, w mej duszy zmąconej
Żaden dzień się nieodbił mgłą niezaciemniony.

Miła świeżość ich łoża w uroczej zacieni
Po całych dniach mnie pyta nad brzegiem strumieni;
Jak jednostajnym śpiewem uspiona dziecina,
W cichem się ich szemraniu dusza zapomina.

Ach tam, jakby zieloną groblą otoczony,
Kędy oczom wystarcza widnokrąg ścieśniony,
Rad me kroki wstrzymuję, by sam wśród przyrody,
W jasne patrzeć obłoki, słuchać szmeru wody.

Nadtom widział, nadto czuł, nadto kochał w życiu,
Więc już za życia szukam spokoju w ukryciu;
Bądźcież mi ciche wody! zapomnienia zdrojem,
Wszak ono już jedynem odtąd szczęściem mojem!

Umilkła dusza moja i serce spoczywa;
Konający z daleka gwar swiata przybywa;
Jak ów dźwięk, co zaledwie na skrzydłach wietrzyka
Do niepewnego ucha mdlejący przenika,

Ztąd poglądam na życie, jakby za obłokiem
W bladym cieniu przeszłości nikło przed mem okiem;
Miłość tylko zostaje jako przy ocknieniu
Sen tylko najświetniejszy ujdzie zapomnieniu.

Więc w tym odpocznij duszo przytułku ostatnim!
Jak podróżnik co z sercem w nadzieje dostatniem
Nim wejdzie, chwilę jeszcze w miejskiej bramie stawa,
I pachnącem wieczora tchnieniem się napawa.

Jako on z okurzonej strzepnij proch odzieży,
Bo niewróci w tę kolej kto ją raz przebieży;
I odetchnij u mety jako on po znoju
Tym spokojem, wiecznego zwiastunem spokoju!

S. S.

WYJĄTKI

Z SZLACHTOGRAFII

J. I. KRASZEWSKIEGO.

§. 8.

DZIERŻAWCA.

Dawniej to panie, mówił mi zbogacony na possesiach zacny dziś obywatel, a niegdyś ubogi szlachciurka, dawniej to bywało trzymać possesie! Panowie puszczali tanio, nie wyliczali intraty z jaj, kur, osepów, czernic, nie cenili pańszczyzny tak drogo. Niezłą nazywała się possesia, gdy ozimina ją sama zapłaciła, a reszta była zysku. Potrzebował jaśniewielmożny pieniędzy, pośli słudzy, przyjechał szlachcic z trzosem, zapłacił za kilka lat z góry, a gospodarując dobrze, zrobił fortunkę dzieciom przy pomocy bożej. Dziś wcale co innego mości panie, dzierżawy powyciągane jak skóra na bębnie, possesorowie tracą i panowie nic niemają.

— Jednakże, odpowiedziałem, pełno kontrahentów na posessie.

— A cóż mają robić, rzekł stary, człek niema kąta, dzieci, żona, jakie takie gospodarstwo musi wziąść, choć drogo na widoczną stratę, to tak, jakby zapłacił za kamienicę i żył w mieście.

— Dzierżawców w ogólności, mówił dalej, można podzielić na dwie wielkie klasy, tych, którzy robią fortunę i którzy ją tracą. Między pierwszymi znajdziesz pan owych niedzisiejszego wieku ludzi, co to sami nie lenią się pójść i do bydełka i do gorzelni i na pole pojechać i kopy policzyć. Oni panu i w nocy wstaną i zimna się nielękną, a wkożuszku zakutawszy się, postoją bodaj w mróz, póki wódka nie odejdzie. Tacy to robią fortunę powoli, ale koniec końcem, nie obejrzysz się jak ją z kądsiś wezmą. I łatwo to pojąć, żyją sobie po szlachecku czem bóg dał, kucharka im uwarzy, bryczyną się przejadą, a sukni nie nadrą, bo w kożuszku chodzą. Na tych to się sprawdza, że pańskie oko konia tuczy. Jeśli ich ludzie i kradną potrosze, to takich zawsze mniej niż owych, którzy do niczego niezajrzą. Bo panie, kto się na sumieniu ludzkiem bezwarunkowo funduje,

na lodzie buduje: będzie ono stać jaki czas, lecz jak słonko przygrzeje, pójdzie budowla z fundamentami. I nie dziw, człek krewki, jak dawniej mawiano, ułomny, nie byłby człowiekiem. Ten possesor, o którym mowa, dobre sobie zawsze człeczysko, ale ze zwyczaju oszczędności zarywa na skąpego trochę; przynajmniej tak o nim mówią sąsiedzi, może dla tego, że ich tylko traktuje czem ma, niewykwintnie, panów nie naśladuje, sam się niedmie, a z tych którzy tracą, jak z głupców się śmieje.

Dzierżawców robiących fortunę, bywa i drugi gatunek, wcale to znowu co innego. Nieraz tytułuje się hrabią, jeździ koczem, żyje wykwintnie. On inaczej znowu fortunę robi. Rzuca wielki kapitał w owce, w woły, w gorzelnią, fabryki, spekuluje umiejętnie, wygrywa jak w karty. Ten przeciwnie pierwszemu, który im więcej robi, tem się więcej kuli; im więcej zarabia, tem więcej szasta. Na stole szampan, w salonie karty i stosy złota, fortepian wiedeński u pani, kocze, karety, wierzchowce, tłumny dwór. Ale dla tego pan dzierżawca sam chodzi do wołów, mianowicie do owczarni, sam r o z u m o w a n ą (co nadużycie wyrazu!) urządza gorzelnią, sam jeździ woły kupować. Ci panowie podobno wygrywają śmiałością, rzucają się na olbrzymie spekulacie, mają pewien w nich takt i po kilku latach, co trzymali kilka kluczów, to ich kilka kupują, jeśli w karty nieprzegrają część majątku.

Starodawny possesor, mówił dalej mój sąsiad, to była panie figura, jakiej dziś mało widać, albo i nie widać może. Szlachcic, za którego z miny niedałbyś trzech groszy, szaraczkowa kapota, buty juchtowe, barania kapuza, pokorny, kłaniający się; ale pomacać go było koło pasa, były tam czerwone złote jakich nie jeden pan, co się dął tego niemiał i połowy. W domu u possesora gołe ściany i matka boża, lub pan Jezus na ścianie, kilinkiem okryty tapczanik; szabelka nad łóżkiem z gromnicą. Jejmość w kuchni zawsze albo w piekarni, albo u wieprzów, u drobiu, z prządkami. Nie widziałeś jej, chyba u obiadu, do którego siadał podstarości razem. A na stół nie dali nic krom domowych rzeczy, przyprawnych słoniną, bo masło przedawało się w mieście. A dawała go krowa po trzy faski! Drobiu także niejadło się, wędlicami, półgęskami, nabiałem (i to oszczędnie), a żydowskiemi prezenty sztukując się. Jechał pan possesor w drogę, brał flaszkę wódki (bo się niebał odkupów po miasteczkach), sera twardego, kiełbas, chleba, dobrze kiedy garnek bigosu, a i to nie prędzej aż mu trzos ciężył u pasa ładowny. Takim to sposobem dorabiano się mosanie fortuny, pracą i oszczędnością. Teraz, może poczęści i dla tego krzyczą na dzierżawy, że sami z nich korzystać nie umieją, wziąść się w kupę, oszczędzać, pracować. Teraz weźmie szlachcic possesijkę za kilka tysięcy, toć już chce mu się koczyka, koników dobrych, kucharza, stołu, kamerdynera, a jejmości fioków, a jejmościankom diabli już wiedzą czego.

Przerwałem mojemu staremu, pytając go o drugą kategorią possesorów, tych, co tracą.

— Właśnie to do nich szedłem, odpowiedział. Nie wszyscy jednak tracą ze swojej winy, są biedni których pan bóg próbuje: przyjdą grady, nieurodzaj, posucha, ogień. Pan dziedzic *alias Jurisdator*, schowawszy pieniądze żartować będzie z possesora; i tak straci jeden rok, drugi, ochota od pracy odpadnie, przywiąże się bieda i po nim. Muszę tu wspomnieć o dziedzicach w ich stosunkach z dzierżawcami. P. p. dziedzice po większej części na oczyszczenie się, gdy mowa o bonifikatę przyjdzie, powiadać zwykli, że possesie są jak stawki w karty, przegrał, wygrał, i niema o czem mówić. Ale to tak w cale nie jest, tylko dla tych, co nie mają sumienia, a wziąwszy pieniądze gotowi wymyśleć, bóg wie co, byleby ich nieoddawać. Plagi dotykające possesora, a niepochodzące z jego winy, dotknęłyby dziedzica, który, jeśli na nich niechce tracić dowodzi tylko zawsze, jakem powiedział, że niema sumienia. Dziedzice wyobrażają sobie, że dzierżawcy ogromne mają zyski, tem co oni się bronią w ostatku od wszelkich wynagrodzeń. Aleć i te zyski winni dzierżawcy swojej pracy, a największy zysk, nie może być przyczyną ważną do odmówienia bonifikaty, gdy się ta słusznie należy.

Z kilku jurysdatorów, z którymi miałem do czynienia, mówił dalej stary, jeden tylko był poczciwy i sumienny; reszta bardzo zacni obywalele, ale nie daj boże mieć więcej z nimi interesu. Brać pieniędzy, brali, oddawać nie umieli. Byli tacy, którzy uczyniwszy kontrakt, mówili potem sami że nie był ważny bo nie formalny; gdy człek zaufawszy łotrom, sądził, że słowo szlacheckie najlepsza formalność. Na takich panów trzeba, jak mówią kosy na kamień, takiego, jak oni, żeby ich nauczył, nie rozumu, (tego nauczyć nie można, pomimo przysłowia), ale jak boli szelmostwo. Z tych wyrazów szlachcica poznałem, że go jeszcze bolały dawniejsze rany, odwróciłem więc rozmowę do dzierżawców tracących na dzierżawach.

— Mówiłem, ciągnął dalej, że są tacy którzy tracą nie swoją winą, ale wolą bożą, a jak stracą raz, ochota odpadnie, przywiąże się wyobrażenie jakiego nieszczęścia, a potem już tracą, a tracą do samego ostatku. Inni są panie, którzy ledwie żyjąc, jeśli nie tracą, to też niezarabiają. Takich po większej części obsiada i objada familia liczna, albo wysysa jaki proces nieszczęsny. Już im nawet niemyśleć o zarobku, byle pan bóg dał niestracić. To są biedni, których żal tylko. Ale są tacy, którzy tracą z dobrej woli, przez próżniactwo, przez fanfry w nosie. Zdaje im się, że powinni utrzymywać dom na takiej stopie, jak zamożni sąsiedzi, jeżdżą poczwórno, jedzą smaczno, śpią długo, a wychodzą, goło—golissime mossanie. I dobrze im tak. Sami sobie winni. Niechaj na possesii ogrodów nie zakładają, domów nie budują, elegancię porzucą, niech pracują, o jutrze myślą. Ci panowie dzierżawcy eleganci, kończą bardzo smutnie; z jednej possesii przechodzą na drugą, zawsze obwiniając czasy i okoliczności wszędzie jedne popełniając głupstwa, coraz zmniejszając dzierżawę, aż wreszcie zostaną na łasce ludzi i bez kąta. Takich to nieżal po prawdzie powiedziawszy, bo jak sobie posłali, tak się wyspali. Ale patrzeć na biedaka, który choruje, pracuje, a traci, bo go osiadły dzieci, interesa, nieurodzaj go nęka, w ówczas to boleśnie.

Jest jeszcze jeden rodzaj possesora, którego wpanu nieopisałem, dodał stary gaduła, possesor pijawka.

Ten prawda robi fortunkę, ale szkaradnym sposobem, uciskiem, nadużyciem, łotrostwem. Jeżeli może, zastawia łapkę na dziedzica, podaje fałszywe pretensie, wynajduje przyczepki, nabywa jego długi, wytrzymuje niedoimki, płaci tradycie i z rachunków w rachunki, staje się prawie dziedzicem majątku. Jeśli to mu się nie uda, uciska chłopów bez sumienia, pędzi ich do roboty przed świtem, nie puszcza do nocy, zapomaga ich aby mógł na mocy tego obedrzeć ze skóry, bije, katuje, uciemięża. Widziałem takiego pana Skobejkę nazwiskiem. Człek to był dobrze podżyły, kawaler, suchy, żółty, wywiędły, kaszlący, uśmiechający się zawsze. Od tego nikt niewziął pieniędzy za dzierżawę, chyba go nieznał; bo wycisnął chłopów do ostatka, wywrócić umiał kontrakt jak chciał i zawsze obronną ręką wyszedł na ostatku. Sławne były jego snopy, z których jednego człowiek nie podniósł, a na wóz ledwie się ich półkopy mieściło i to osie pękały. Sławne były sznury lnu i konopi, odbieranie jaj i kur, osepów, spędzanie na pańszczyznę w nocy, aby jak dzień byli na polu i ze dniem równo do roboty wstawali. Co on tam powymyślał niepodobna opisać i niewarto opisywać, bo to wszystko łajdactwo. Takich dzierżawców teraz u nas nie mało, dodał w końcu stary.

Podziękowałem mu za skreślony rys dzierżawców, do którego dodam jeszcze słów kilka. Ogólnie wziąwszy w towarzystwie nazwisko samo possesora, possesorowej, oznacza kogoś niższego stopnia, i pośledniejszegp wychowania. Jestże słuszną taka opinia, a raczej uprzedzenie? niewiem. To pewna, że istotnie dzierżawcy jako ludzie pracujący, dorabiający się, nie mogą mieć kultury umysłowej panów dziedziców. Nie majętni, zakopani na wsi, nieodznaczają się świetną powierzchownością; lecz z drugiej strony między dzierżawcami dziś znajdziesz ludzi starodawnej uczciwości, gościnności, obyczajów staropolskich, między nimi może jest najwięcej czytelników polskich xiążek, bo i oni w długie zimowe wieczory czytają, a żywiej nieraz czują xiążkę, poezią, powieści, dramat, mocniej się niemi zajmują, niż oziębli a wielce wykształceni wyższej klasy ludzie.

Między dzierżawcami (uważając ich jak najogólniej) mało jest ludzi, jak to mówią *przyzwoitych*, wytwornie się ubierająchch, mówiących po francuzku, czytających Balzaka; ale pod granatowym ich starego kroju frakiem, pod sukienną w dwa rzędy zapinaną kamizelką, biją serca poczciwe po większej części. Znajdziesz wielu śmiesznych z pozoru; nie śmiej się z nich jednak póki ich głębiej nie poznasz, a jeśli wolisz cywilizacią poczciwości od cywilizacii ukłonów i uśmiechów, może w końcu przebaczysz im śmieszności dla cnót.

Dnia 13 *maja* 1841.

Rozmaitość.

Karr opowiada w swoich Osach, iż na smętarzu w *St. Denis* nie masz porządku, i nie jeden opłakując przy grobie drogiej sobie osoby, spostrzega na umartwienie własne, iż łzy nad obcym grobem wylewał. Podobnie działo się w Paryżu w czasie cholery. Zwożono do kościoła po kilkadziesiąt trumien na raz, wszystkie czarne i tylko liczbą odróżnione. Do kościoła wnoszono je na chwilę i wołano: szybko z numerem 1, dalej krewni do numeru 1, płaczcie zmarłego! Dosyć tego, teraz numer 2, a żwawo płaczcie krewni, bo my tu nie na żart stoim. Nr. 3,! i następne wywoływano aż do numeru 6. Tu krewni nie wiedząc, czyli to 6 lub 9, zgodzili się wreszcie na to, aby obiedwie trumny numerem 6 i 9 oznaczone razem do kościoła wprowadzić, i wspólnie kilka chwil pamięci zmarłych poświęcić.

Niedawno zmarły jenerał francuzki Clary, będąc jeszcze porucznikiem, jechał z jenerałem Lassale kabrioletem o jednym koniu, który bardzo często strachał się i brykał. Obadwa zapalili cigara i siedli do kabrioletu. Koń począł być niespokojnym, silny jenerał Lassale wstrzymywał go ile mógł, poźniej wezwał towarzysza do pomocy, ale koń tem bardziej pędził. Jenerał nakoniec chwyta cugle, wiąże je i rzuca na grzbiet koniowi, założył ręce i pali spokojnie cigaro, porucznikowi zgasło ze strachu. Koń nie wstrzymywany niczem począł biegać po rowacb i dołach torując drogę przez pola. Czy chcesz zapalić cigaro mój Clary? zapytał jenerał. W tej chwili wpadają oba z koniem i powozem w przepaść, koń na wpół rozbity, kabriolet połamany, Clary ogłuszony, Lassale podniósł sie na nogi i pyta z krwią zimną: Clary, chcesz zapalić cigaro? Clary zapalił je niechcąc dać poznać przestrachu, trzymał je prawie konwulsijnie w ustach, i tak wrócili obadwa pieszo do domu.

Uzyskawszy wydawca dziennika mód paryskich z rządu głównego cenzury petersburskiej dnia 7 października (19 paź.) 1840, pod liczbą 186, pozwolenie na przesyłanie dziennika swego w państwo rosijskie, uwiadamia niniejszem szanownych prenumeratorów iż otrzymał dnia 14 czerwca (26 czerw.) 1841, także i ustanowienie ceny na przesyłkę pocztową w obrębie tegoż państwa, to jest: 1 rubel śrebrny i 50 kopijek na rok cały. Prenumerata zaś na tenże dziennik do granicy wynosi:

7 rubli śrebr. i 25 kopijek na rok cały,
3 ruble „ 80 „ na pół roku.

Z rysunkami krojów, służących tylko dla majstrów sztuki krawieckiej:

8 rubli śrebr. i 50 kopijek na cały rok,
4 ruble „ 25 „ na pół roku.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI DRUKIEM PIOTRA PILLERA.